

SPOŁECZEŃSTWO

→ Żygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny. →

PRENUMERATA: w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedynczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 9, Kwartalnie rb. 2 k. 25. Numer pojedynczy k. 20. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO” wychodzi co piątek.

Adres Red. i Administr. **Żórawia 29, m. 2; Tel. 116 67.**

TREŚĆ NUMERU.

Ferment wojenny.
Solidaryzm i Rzeczywistość.
Lamarck i Darwin.
Echa: Działalność naszego kupiectwa.
List do Redakcji: p. Konicowi.
Krytyka i Sprawozdania.

OGŁOSZENIA po kop. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADEŚLANE na 1 stronie przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki o g. 2—3 po południu. Drobnym rękopisów nie zwraca się.

Z teatru.
Ruch robotniczy: Strajki.
Ruch zawodowy: Polski Związek Zaw. Robotn. Drzewnych.
Kronika.
Metropolis (ciąg dalszy) powieść.
Wiadomości bibliograficzne.
Dodatek: J. Wł. Dawid. Inteligencja, Wola i Zdolność do pracy (ark. 10).

NOWOŚĆ!

CHOCHOŁ

Zbiór utworów satyrycznych wierszem i prozą.

WYDAWNICTWO „SPOŁECZEŃSTWA”.

Cena kop. 30.

Wystawa Fotograficzna

Wierzbowa 8 otwarta w niedzielę i święta od g. 12^{1/2} do 6.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom, że czas odnowić przedpłatę na **kwartał II-gi.**

FERMENT WOJENNY.

Sprawa pokoju europejskiego została złożona do rozstrzygnięcia generałów austriackich. Sytuacja przedstawia się w świetle dość poważnym z tej racji, że Serbia na stanowczą notę rządu wiedeńskiego w kwestii traktatu handlowego odpowiedziała wymijająco. Na skutek tej odpowiedzi baron Aehrenthal oznajmił, że gabinet prześle do Białogrodu kategoryczne oświadczenie z żądaniem jasnego wypowiedzenia się w sprawie powyższego traktatu. Jeśli zaś rząd serbski i tym razem utrzyma się na nieokreślonym stanowisku — Austrija wy-

stosuje ostatnią notę w formie ultimatum, które rozstrzygnie sprawę pokoju lub wojny. Jeśli zważywszy, że w warunkach ostrych starć dyplomatycznych język stanowczy gabinetów odpowiada zwykle naprężonym stosunkom między państwami — należy przypuszczać, że w chwili obecnej ultimatum nie może odgrywać roli fajerwerku, wybuchającego na igrzyskach dyplomatycznych. Sytuacja jest bezwątpienia z gruntu poważną, lecz wszelkie wróżby zarówno o losach wojny, jak i pokoju muszą przedstawiać się w świetle niepewnym, a ryzykownym jest każde twierdzenie, które kategorycznie orzeka o jednym z dwóch następstw nienormalnego i niezrównoważonego położenia politycznego.

Sądząc z ostatnich depesz — w Wiedniu mówią o wybuchu wojny, jako o fakcie koniecznym, bezwzględnie, jako o logicznym zakończeniu obecnego przesilenia. Wiedeńskie koła wojskowe pobrzękują szabłami. Uważają one, że w ciągu kilkunastu dni obezwładnią i zduszą Serbję ku chwale dynastji habsburskiej i oręża austriacko-węgierskiego. Błyskawiczne pokonanie państwka bałkańskiego — według opinji tych kół może podnieść *prestige* monarchji i uwiecznić czoło wiedeńskich mężów stanu z panem br. Aehrenthalem na czele, który z godnością wyszedłby z szulerskiej gry dyplomatycznej. Fanfaronada oficerów austriackich przypomina pewność i nonszalancję rosyjskich wyższych kół militarnych, które w przededniu wojny z Japonją twierdziły, iż wystarczy jeden regiment gwardji pułku Siemionowskiego do przepędzenia czelnego Azjaty. Podobnie i milinaryści angielscy zapatrywali się na szanse swej wojny z Boerami. Oba przykłady są dostatecznie pouczające, by należało z pewną rezerwą przyjmować przechwałki wiedeńskich wojaków.

Należy brać pod uwagę żołnierza, jego waleczność i ducha, który go ożywia na placu boju. Żołnierz serbski, walczący o wolność ojczyzny, zdający sobie sprawę z tego, że nieprzyjaciel nachodzi go w celach zabor-

czych, przejęty gorącym patryotyzmem i powołany do rozstrzygnięcia orężem dylematu—zgiąć wolnym lub zostać niewolnikiem—ma bezwzględnie przewagę nad żółdkiem austriackim, którego przymusowo gnają do obcego kraju—który nie wie o co się bije,—nie zdaje sobie sprawy pociągu go pędzą na plac boju—w myśl jakiej idei, dążeń lub interesów państwowych.

Górskie okolice w Serbji i Czarnogórze obwarowane i bronione przez walecznych góralów będą przez pewien czas niedostępne. Nie wyłączone jest również, że w czasie burzy wojennej w Bośni i Hercegowinie, ożywionych nadzieją wyzwolenia—wybuchnie powstanie, które pod względem strategicznym, komunikacji i przewozu armji stanowiłoby dla Austrii niemałą trudność. Nie wdając się w przewidywania ostatecznych wyników wojny, to jedno uważać można za pewne, że płomień, któryby wybuchł na Bałkanach, nie mógłby być w ciągu kilkunastu dni stłumiony i objąłby o wiele szersze przestrzenie Europy.

H. L.

SOLIDARYZM I RZECZYWISTOŚĆ.

II.

W wolnych zrzeszeniach obywateli w kooperatywach i stowarzyszeniach wytwórczych, związkach zawodowych widzą solidaryści obok bezpośredniej korzyści materialnej, także szkołę samodzielności i demokratyzmu. Jest to realistyczna część programu o cechach wybitnie radykalnych. Mniej radykalnie przedstawia się natomiast realizacja tego programu w praktyce codziennej.

Ojczyzną solidaryzmu jest Francja. W chwili obecnej nawą państwową kierują tam radykali. Na czele rządu stoi Clemenceau. Szermierz ten, niestrudzony wódz partji radykalnej i bożek demokracji francuskiej (dziś już i polskiej) po obaleniu siedemnastu ministrów w czasie swej długiej kariery politycznej stanął wreszcie u władzy, rozporządzając kolosalną większością głosów w prawodawczej Izbie deputowanych. Zdawałoby się, że uporczywie przez szereg lat głoszone hasła partji radykalnej zostaną wprowadzone w życie, że deklaracja odczytana z trybuny parlamentarnej w dniu ukonstytuowania się gabinetu nie pozostanie martwą literą, lecz stopniowo, każda reforma oddzielnie, przypieczętowana wolą i przekonaniem przytłaczającej większości prawodawców, zostanie bezwzględnie zrealizowana. Okrzyki i protesty osłabionej i zwyciężonej prawicy pozostawać winny wobec składu parlamentu nic nieznaczącym hałasem. Radykali, (czując się wszechwładnymi panami) winni byli w myśl swych zasad demokratycznych przeprowadzić konsekwentnie swoją wytyczną bez żadnych zbroceń na prawo, bez żadnych ustępstw na korzyść reakcji.

Cóż widzimy po dwu latach z górą rządów gabinetu Clemenceau? Jakie konkretne zdobycze osiągnęła Francja? Jakie tryumfy święci radykalizm? Widzimy zero w rubryce przeprowadzonych reform, Francja nic nie osiągnęła, partja w swej kolosalnej większości przesunęła się gwałtownie na prawo, tem samem zadając kłam poprzednio głoszonym zasadom. Nie piszemy tu aktu oskarżenia radykalizmu. Można krytycznie się odnosić do programu solidaryzmu i nie podzielać nadziei co do ziszczalności jego wszystkich projektów reorganizacyjnych. W praktyce jednak, w dziedzinie reform demokratycznych, przez radykalizm zakreślonych, koniecznym jest poparcie i współdziałanie wszystkich żywiołów

demokratycznych w walce o ich realizację. Lecz, jeśli otrzymujemy poglądową lekcję tego, jak wygląda czyn partji radykalnej w warunkach faktycznego jej panowania, wówczas niewolno przemilczać, zatuszowywać lub zbywać ogólnikami niekonsekwencji, zakusów dyktatorskich i demokratycznych falsyfikatów gabinetu Clemenceau.

Prezes ministrów przy każdej sposobności na zebraniach przedwyborczych do Senatu, na bankietach, nie zaniebuje wypowiedzieć programowej mowy o pracach gabinetu, o koniecznych reformach i t. d. i nigdy nie opuści sposobności, kiedy rzecz może, iż „wybija godzina wielkich przeobrażeń w duchu demokratycznym“. Godzina ta bije już od paru lat i dotychczas, niestety, wybić nie może. Cóż dzieje się z jedną z zasadniczych reform — reformą sądów wojennych? W sprawie tej zachowane zostało *status quo*. Jakie losy spotkały projekt prawa o ubezpieczeniu robotników? — został odłożony na czas nieokreślony. Jak wyglądają projekty o wykupie kolei Zachodnich, o postępowym podatku od dochodów? Mówią nam obrońcy polityki Clemenceau, że gabinet jego zdziałał więcej przez lat dwa, niż zdziałały poprzednie gabinety przez uprzednich lat trzydzieści.

Jakieżto realne zdobycze? Oddzielenie kościoła od państwa, które w znaczniejszej części jest dziełem Combes'a i Rouvier'a. Prawo o odpoczynku niedzielnym, wobec tumultu podniesionego przez epicerów paryskich zostało martwą literą. A prawo to stało się przyczyną głośnych i częstych manifestacji ulicznych w Paryżu, które zaniepokoiły gabinet Clemenceau, (zwłaszcza zaś ministra Briand'a) i wpłynęły na nowy kierunek polityki według dewizy: „Najpierw porządek — później reformy!“ Strzelanina w Draveil-Villeneuve St.-Georges.

Powiedzą nam, że podczas ekscesów ulicznych siłę przeciwstawia się siłę, że we wrogiej, burzliwej i gorącej atmosferze broń bez udziału ministrów niekiedy wypala. Być może. Zrozumiemy to łatwiej, jeśli szczegółowo rozpatrzmy się w sytuacji, zrozumiemy to jeszcze łatwiej, jeśli z opozycyjnego stanowiska na dole wzniesiemy się na stanowisko państwowe, rządowe — na górze. Lecz o czym świadczą sprawy przygotowawcze w przeddzień święta majowego w Paryżu? Już w pierwszym roku swego panowania Clemenceau rozpłaszcza przesadzone, niewiarogodne wieści o niebezpieczeństwie, które jakoby grozi samym podstawom już nie III Republiki, lecz podstawom istniejącego ustroju społecznego. Dla odegrania sceny w sposób należyty stawia się na nogi cały wojskowy garnizon paryski, uruchamia się artylerję i drukuje się w pismach rozkaz dzienny do armji; wylicza się ilość ostrych nabożów, jaka ma być rozdana patrolującym żołnierzom. Trwoży się władców Francji — królów giełdy i finansistów, którzy wraz z rodzinami, zabierając kosztowności umykają do Szwajcarii. W jakim celu czyni się te alarmy? By umocnić swoje stanowisko ministerjalne, by osiągnąć wpływy w sferach dotychczas niedostępnych, by poglądowo wykazać rządy „silnej ręki“, która w porę osadzić może na miejscu czerwone niebezpieczeństwo.

Jedyną uchwałę parlamentu przeprowadza się konsekwentnie i owocnie: karę śmierci. Mieliśmy już sposobność pisać o tej sprawie. Na tem miejscu zaznaczymy tylko ten szczegół, że większość radykalna w Izbie deputowanych uchwaliła karę śmierci wbrew swym zasadom, głoszonym hasłom humanitarnym. Solidaryzm w tym wypadku stał się fikcją. Odpowiedzialność za czyny (antispołeczne) radykali zwalili wyłącznie na głowę jednostki, stwarzając sobie tem samem barbarzyńskie prawo ścinania tej głowy. Gabinet Clemenceau wypowiedział się wprawdzie przeciw utrzymaniu tego prawa w kodeksie karnym. Tem gorzej dla niego. Wbrew swoim przekonaniom, znów w celach zachowania władzy — Clemenceau zniewolony jest skłaniać prezydenta Republiki do akceptowania i podpisywania wyroków śmierci.

Reasumując zdobycze partji radykalnej od chwili kiedy stanęła u władzy — przyjąć musimy do smutnych wniosków, że niczem się nie wzbogaciła, przeciwnie przegrała wiele, bowiem zdyskredytowała się w oczach żywołów istotnie demokratycznych, pozbawiła się cech uczciwości politycznej, osłabiając tem samem zaufanie i wiarę w chęć i zdolności realizowania programu solidaryzmu.

Dziś zupełnie niezrozumiałem jest uwielbienie tego byłego wodza demokracji. W chwili obecnej łączenie roli tego człowieka z ogólną rolą radykalizmu staje się ryzykownem, gdyż zawsze kojarzyć się będą obrazy z okresu rządów Clemenceau, który przyczynił się do upadku czystego solidaryzmu, spaczył jego ideologję i niesłychanie zlekceważył zasady i tradycje partji radykalnej w jej długoletniej walce z wstecznictwem i szowinizmem francuskim.

Henryk Lukrec.

FELIKS LE DANTEC.

LAMARCK I DARWIN.

DWA KIERUNKI BJOLOGICZNE.

Darwin urodził się w 1809 roku, w tym samym czasie, kiedy we Francji ukazała się *Filozofja zoologiczna*; a gdy Anglicy będą w roku bieżącym obchodzić stoletnią rocznicę urodzin Darwina, Francuzi urządzać będą uroczystości na cześć książki, która liczy dziś lat sto, a której autorem był ojciec teorii transformizmu. Jestto więc chwila dla porównania dwóch dziś pauujących bjologicznych kierunków, z których jeden wziął początek od Lamarcka, drugi, od autora dzieła o *Pochodzeniu gatunków*.

Gdy ze śmiercią Lamarcka teoria transformizmu upadła, ze zjawieniem się Darwina została ona na nowo powołana do życia, tylko nieco zmieniona. Trudno byłoby znaleźć, wśród natur ludzkich, dwa bardziej sprzeczne umysły, jak umysł Lamarcka i umysł Darwina. Każdy z nich ma dzisiaj swoich gorących rzeczników a jedni i drudzy są od siebie rozdzieleni temż właściwościami umysłowemi, jakie dzieliły dwóch nieśmiertelnych przedstawicieli teorii rozwoju. Ich różnice umysłowe dadzą się streścić w paru słowach: Darwin jest prawdziwym przyrodnikiem, Lamarck jest przedewszystkiem fizykiem.

* * *

Lamarck nie oddzielał zagadnienia życia od zagadnienia pochodzenia gatunków, zapoczątkował wiarę w jedność zjawisk bjologicznych. A choć nigdy myśli tej nie wypowiedział wyraźnie, to jednak, po przeczytaniu dzieła jego wynosi się wrażenie, że życie było dla niego *jedno*, pomimo, że pod wieloma występowało postaciami. Bo gdy nawet odosobniony różne zagadnienia, które nam nasuwa rozbiór złożonego zjawiska, gdy zatrzymamy się naprzykład dłużej nad obserwowaniem rodzenia, rozrostu, zatrzymywania się stanu dorosłego, snu, śmierci, rozrodzenia, dziedziczności, płci i t. d., nie możemy jednak zapominać, że wszystkie te przedmioty obserwacji są tylko różnymi stronami jednego wielkiego zagadnienia. Dopiero w powiązaniu wszystkich szczegółów w jedną całość znajdujemy naukowe zadowolenie, a jest ono o wiele większe od tego, jakie odczuwamy przy rozstrzygnięciu każdego poszczególnego zadania, nadewszystko, gdy go z całością związać nie umiemy.

Lamarck zrozumiał odrazu, że życie nie leży w żywej istocie, chociaż zależne jest od pewnych własności budowy ciała, własności ściśle określonych, któ-

rych utrata przyprawi ją o nieodwołalną śmierć. Ale po za koniecznościami cielesnej budowy, są jeszcze konieczności otoczenia, po za którymi życie się utrzymać nie może. Inaczej, życie jest rezultatem zbiegu warunków ukształtowań wewnętrznych i warunków zewnętrznych otoczenia. Pozwałam sobie tutaj rozumować tak, jak to musiał robić Lamarck, przed dojsciem do swojej genialnej teorii rozwoju istot żyjących.

Pomimo pozorów, jakie sprowadzają zjawiska płciowe, przygotowujące do rozrodzenia, każdego musi uderzyć ciągłość życia po przez wieki. Oprócz płciowych zawiesznień życia (a i te sprowadzają się do odpoczynków przerywanych), szereg gatunkowy może być porównany do życia osobnikowego. A jeżeli życie osobnika jest wypadkową dwóch czynników, jednego, wewnętrznego polegającego na ukształtowaniu, drugiego, zewnętrznego, zależnego od środowiska, to logicznie życie gatunku, życie przodków, jest również wypadkową czynnika — ustroju i czynnika — otoczenia. Najbardziej znów ciekawym punktem w rozwoju gatunku, dla transformisty jest zmienność. Stąd myśl nasza naturalnym biegiem rzeczy dochodzi do przekonania, że zmienność, jak inne objawy życia, wypływa ze współdziałania osobnika i otoczenia.

Tak więc metoda, która wydaje nam się najracjonalniejsza dla badania początku gatunków, polega najpierw na ustaleniu *Teorii o życiu*, nie wchodząc w zjawiska ubiegłe, które przygotowały istoty żyjące obecnie; potem dopiero mamy prawo się pytać, co dać mogą objawy życia, długo w czasie zachodzące, w zmiennych warunkach otoczenia. Jestto metoda, którą szedłem sam, instynktownie, od lat piętnastu, zupełnie się jej niedomyślając, że prowadziła mnie ona pod sztandar lamarckizmu. Ale jestem pewny, że Lamarck, nigdy o tem nie pisząc, tą drogą doszedł do teorii transformizmu, wyłożonej w *Filozofji zoologicznej*.

To przypisywanie Lamarckowi rozumowania, które sam robiłem w czasie, kiedy zaledwie znalazłem jego dzieło, może mnie ośmieszyć w oczach czytelnika. Musimy jednak wziąć pod uwagę, że rozumowania które w XIX wieku, zwłaszcza na jego początku, były przystępne wyjątkowemu genjuszowi, dzisiaj narzucają się same każdemu umysłowi przesiąkniętemu nowymi metodami fizyki i chemji. Nie zdaje mi się, bym ubliżył sławie Lamarcka twierdząc, że w dzisiejszych czasach, każdy fizyk, gdyby mu wypadło zajmować się kwestjami życia, doszedłby do zasadniczych wniosków, zawartych w *Filozofji zoologicznej*, nigdy jej nawet nie czytając. Jestto właściwością wielkich ludzi wychodzić po za granice swego czasu, czyni ich to często niepopularnymi. Lamarck był nim więcej, niż ktokolwiek bądź inny. Nasze wrodzone uczucie sprawiedliwości znajdzie zadowolenie w czi, jaką rok 1909 otoczy jego pamięć.

Ujmując w starą przysłowiową formę, w jaką nasi przodkowie zamknęli najlepsze spostrzeżenia bjologiczne, Lamarck oparł swój system na twierdzeniu: „że przyzwyczajenie jest drugą naturą“. To jedno słowo „przyzwyczajenie“ obejmuje całą metodę Lamarcka. Przyzwyczajenie wytwarza się u żywej istoty pod wpływem nowych warunków otoczenia, gdy te warunki trwają niezmiennie przez dłuższy przeciąg czasu. Twierdzić, że przyzwyczajenie jest zasadniczym faktem życiowym znaczy przyznawać, że życie jest wynikiem dwóch czynników, z których jednym jest żywa istota, drugim otoczenie. A gdy z życia osobnikowego przeniesiemy się do życia gatunku, z konieczności, przypisywać będziemy nabyciu nowych przyzwyczajzeń powstanie nowych cech, wynikłych z nowych warunków. Utrwalenie przyzwyczajzeń, albo dziedziczność cech nabytych, jest drugim zasadniczym objawem życia; w takiej przynajmniej formie występuje ono, gdy je rozpatrujemy w szeregu licznych pokoleń. To też obie zasady teorii Lamarcka są jednocześnie wyrazem prawa życia; pierwsza z nich znajduje codziennie zastosowanie, zachodzi w naszych oczach, i nie

wymaga długiego czasu, by ją zauważyć, oto na czym ona polega:

Każde zwierzę, które jest jeszcze w fazie rozwojowej, gdy często używa jakiegobądź organu, organ ten przez to samo wzmacnia, rozwija, powiększa i daje mu siłę proporcjonalną do czasu, w jakim był czynny; przeciwnie stała nieczynność organu osłabia go, wyniszcza, stopniowo zmniejsza jego władzę i ostatecznie sprowadza jego zanik.

Zasada ta, na nieszczęście nazbyt skrócona, zawiera się w zdaniu: „że czynność stwarza organ“.

Druga zasada Lamarcka stosuje się do zasadniczego prawa życia, które działa na znaczny przeciąg czasu; cechy nabyte mogą istotnie być uważane jako przyzwyczajenia pokoleń, ta zasada polega na następującem:

„Wszystko co natura pozwoliła jednostce nabyć przez częstsze użycie któregoś z organów, lub zaniedbanie czynności jakiegobądź części, taż natura przechowuje to w nowych jednostkach z tamtej powstałych, *byleby zmiany nabyte dotyczyły obu płci...*“

To zastrzeżenie końcowe ma ogromne znaczenie. Aby jakaś cecha utrwaliła się w pokoleniu, trzeba by należała do obu płci. Inaczej, jeśli została nabyta tylko przez jedną płć, zapłodnienie unicestwia ją. Stąd prawie płciowe nie przyczynia się, bynajmniej do wprowadzenia do pokoleń zmienności, ale przeciwnie, nabyte zmiany niweczy, z wyjątkiem, gdy je nabyły obie płcie. Wtedy rzeczy mają się tak, jakby zjawisko płciowe, nie miało zupełnie miejsca. Dlatego też można opowiedzieć całą historję lamarckizmu, nie wzmiankując zupełnie o objawach płciowych, przypuszczając jedynie, że mnożenie się jednostek miało miejsce przez zwykłą ciągłość.

Nie znaczy to, by życie mogło być rozumiane bez płci. Przeciwnie, zdaje się być dzisiaj doskonale dowiedzione, że każda żywa komórka zawiera dwie płcie, jak stos elektryczny dwa bieguny: objaw życiowy jest zawsze dwubiegunowy, albo dwupłciowy; pierwotne życie występuje dopiero w takiej zarodki, która posiada jednocześnie dwa elementy sprzeczne, męski i żeński. Zaś to, co wogóle nazywamy zjawiskiem płciowym, jest właściwie *dojrzwaniem*; po niem pierwiastek uprzednio żywy staje się niezdolnym do życia, przez utratę jednego ze swych czynnych biegunów. Po dojrzeniu, element żyjący, żyć przestaje we właściwym tego słowa znaczeniu. Pierwiastek męski i żeński nie żyją: każdy z nich jest połową całego ustroju. One się tylko uzupełniają, przyciągają się i zespalają w akcie zapłodnienia. Zapłodnienie daje ostatecznie jajo, silną, odmłodzoną komórkę, która jest punktem wyjścia nowego osobnika.

To odmłodzenie jest bezsprzecznie jedną z potrzeb ciągłości życia ale z punktu widzenia zmienności połączenie płciowe przechowuje dla pokoleń jedynie cechy nabyte przez samca i samicę, jak to sam Lamarck rozumiał, stąd zapłodnienie może być wykluczone, powtarzam tu raz jeszcze, z ogólnej historii stopniowego rozwoju. Zjawisko płciowe, od dojrzwania do zapłodnienia, jest zawieszeniem objawu życia, jest przerwą w pokoleniu, jest śmiercią, używając dosadnego wyrażenia, które wyda się paradoksalnem, chociaż ściśle odpowiada faktom.

Wierny zasadzie, jaką mu tu przypisuję, Lamarck, świadomie czy nieświadomie, pomijał w swojej historii ewolucji te przerwy śmierci i zwracał się jedynie, dla ugruntowania swego transformizmu, do wyraźnych objawów życia. Życie gatunku jest, z wyjątkiem przerw płciowych, podobne do życia jednostki jest *funkcjonowaniem*.

Długo szukałem określenia dla wyrazu funkcjonowania u istot żyjących. Funkcjonowanie może być tu określone tylko w stosunku do samych istot żyjących. Jeżeli je określimy w stosunku do obcego obserwatora, to każdy da swoiste określenie. Otóż, dla istoty żywej, jedynie ciekawym wynikiem jest ten, że po funkcjonowaniu zostaje ona przy życiu — czem zasadniczo się różni

od materji martwej. Życie jest objawem, mającym ciągłość, życie zachowuje się przez własne objawy: żyje się, żyjąc. Choć wszystkie powyższe formuły, mogą się wydawać banalnemi, tem niemniej określają życie i wyróżniają je od objawów niezwywych.

Określając „funkcjonowanie istoty żywej w danej chwili“, jako jej działalność życiową¹⁾, twierdząc, że funkcjonowanie zachowuje życie i że życie zachowuje życie. Prawo przyswajania czynnościowego, które wyraziłem przed piętnastu laty jest właśnie określeniem życia. Z tego zaś prawa wypływa bezpośrednio prawo przyzwyczajenia, stanowiące pierwszą zasadę Lamarcka. To też Lamarck w objaśnieniu powstawania gatunków wprowadził najlepsze określenie życia. Logicznem by się wydawało, że aby objaśnić następstwa zjawiska życia, trwającego przez czas dłuższy, trzeba było wprowadzić w grę czynniki, wchodzące w skład codziennego objawu życia. To właśnie zrobił Lamarck. Jego przeto rozumowanie nie powinno było napotkać przeciwników. Ci jednak istnieli, a wśród nich nawet wielkie umysły. Na przykład Claude Bernard negował fakt utrzymania życia życiem. Darwin wprawdzie nie krytykował objaśnienia Lamarcka, ale wprowadził w grę czynniki nieżyjące dla objaśnienia tworzenia się gatunków; przeszedł go w tym względzie, najślawniejszy neo-darwinista, Weismann.

Claude Bernard streścił swoje zapatrywanie w znanym paradoksie: „życie jest śmiercią“. Inaczej mówiąc, czynność życiowa albo funkcjonowanie objawia się niszczeniem tkanek czynnych. Jestto prawo *czynnościowego niszczenia*, które jeszcze dzisiaj uczniowie jego głoszą.

(dok. nast.).

E C H A.

DZIAŁALNOŚĆ „NASZEGO“ KUPIECTWA.

Dnia 13 b. m. odbyło się zgromadzenie ogólne Stow. kupców Polskich, na którym zdecydowano podwyższenie składki z 12 rb. na 16 rb. i zatwierdzono budżet na rok przyszły.

Obrady ujawniły kilka rzeczy, charakteryzujących dosadnie „nasze kupiectwo“, a więc w budżecie r. 1908, (zamkniętym sumą 10,000 rubli (biblioteka pochłonęła aż 52 rb., a w preliminarzu budżetu na r. 1909 (przewidywanym w sumie 13,000 rubli) na bibliotekę nie przeznaczono ani grosza, na prenumeratę pism zaś 300 rb. Obrady trwały krótko i toczyły się przeważnie około pytania: czy w Stow. kupców Polskich można czy nie można grać w pokiera. Okazało się, że jakkolwiek gra w pokiera jest niemoralna, to po pierwsze, nie jest tak niemoralna, jak inne, bo można w nią przegrać „zaledwie“ kilkadziesiąt rubli, a po drugie, Stowarzyszenie ma z niej pokaźny dochód (kilka tysięcy rubli rocznie). Wobec tego ogólne zebranie przekazało sprawę zarządowi, który zapewne nie zechce uszczuplać dochodów instytucji i grę w pokiera tolerować będzie.

Wnosić to możemy z przemówienia prezesa Stow., p. Kiltynowicza, który oświadczył, że chodzić powinno nie o pokiera, lecz o zbyt długie przesiadywanie przy kartach, ponieważ kupcy są także ludźmi pracy, więc trzeba zapewnić im odpoczynek i lokal bezwarunkowo zamykać o g. 5-ej w nocy. Ten wypoczynek od 5-ej w nocy ubawił całe zgromadzenie, które zresztą widocznie lubiąc wypoczynek umysłowy nawet na zebraniu ogólnem spraw poważnych nie porusza.

¹⁾ Odwracając zdanie, nazwałbym naturalnie życiową działalność która zachowuje życie, określiłbym funkcjonowanie przez asymilację.

LIST DO REDAKCJI.

PANU KONICOWI.

Z różnych stron dowiaduję się (np. od redaktora „Prawdy“), że p. Henryk Konic ów giest pogardy, na który sobie zasłużył w Dumie i którym go dotknąłem w artykule „Koło Deiblerowskie“, na pociechę osładza sobie insynuowaniem, że to są z mojej strony „porachunki adwokackie“. Pozwól przeto, Szanowny Redaktorze, że na łamach Twego niezależnego organu krecie te insynuacje zostaną oświetlone i wyjaśnione należycie.

Istotnie, w mej walce przeciw osławionemu i wielokrotnie piętnowanemu przez całą niemal prasę i opinię łotrowi, p. Konic, będąc jego prawnym doradcą, występował w jego obronie sześciokrotnie, w dwóch sądach i wszystkich instancjach, lecz *wszystkie sześć razy sprawę przegrał*, pomimo wysiłków i kręctw kauzyperdzkich, w jakie ten biegły w kruczkach prawnych umysł obfituje. Łotrowstwo sypało pieniędzmi (Grecja płaciła!), nic też dziwnego, że w tej walce stawali przeciw mnie w sądach cywilnych i karnych, oprócz p. Konica, adwokaci Lichocki, Dunin, Nowodworski, Papiński, i wszyscy przegrywali, bo sprawa była czystą jak śnieg alpejski i jasną jak słońce. Że jednak do żadnego z nich nie miałem i nie mam z tego tytułu żadnej zgoła animozji, wiedzą wymienieni, a do jednego z nich, po ogłoszonym wyroku, pierwszy podszedłem i podałem rękę za względnie gentlemanśkie wypełnienie zawodowych obowiązków, choć wogóle nieszczegółnie mam zdanie o naszej palestrze, czego dałem wyraz w artykule z powodu wiecu prawników. Zresztą wniosując logicznie i psychologicznie, byłoby raczej uzasadnionem podejrzewać osobiste odjum w tylokrotnie i tak dotkliwie zranionym w swej renomie adwokackiej obrońcy szkodnika społecznego (rzecz była głośna i wszystkie pisma długo się o niej rozpisywały).

Poglądy i przekonania polityczno-społeczne wyrobiłem sobie nie od dziś, a gruntowały się one w tych czasach, kiedy przyszły Słowianin obkuwał dziesięcioletni paragraf kodeksu, o czym łatwo może się przekonać choćby z Historji Mazowieckiego lub z Dziejów Porozbiorowych Narodu Polskiego. I one to kazały mi zawsze uważać p. Konica za typowego politycznego karierowicza, mierzącego ideały geszettem, a przekonania osobistą korzyścią, po za którą wszystko jest mu w istocie rzeczy obojętne i zamienne. Będąc też na konferencji w sprawie fuzji P. D. z P. P. P. wyrażałem się bez ogródki, że dla pomyślnego rozwoju naszego życia polityczno-społecznego, jako dobroczynne przeciwstawienie i konieczna przeciwwaga N. D., jako pożądane ogniwo między światem obumierającym i w takich cierpieniach rodzącym się, uważam proponowane skupienie i zorganizowanie żywiołów szczerze demokratycznych, postępowych i radykalnych za nader potrzebne i bardzo na dobie wobec rozhalania się i wewnętrznej reakcji, delatorskiego klerikalizmu i napastniczego obskurantyzmu; że stronnictwo takie, stojące czujnie na straży interesów kulturalnych i duchowych kraju, przez lewicę, z wyjątkiem może ortodoksji, życzliwie będzie przyjęte i w wielu punktach stycznych bez trudu i z pożytkiem porozumienie winno nastąpić. Do tego jednak nieodzownym byłoby warunkiem unikanie kompromisów i konszachtów ze sferami pseudo-postępowemi, mętnemi, lawirującemi, stanowcze zerwanie z wszelką obłudą i stęchłą społeczną, bezidejowością, szarą widnokregów, ciasnotą pojęć, tchórzliwością myśli i czynów, a więc starganie wszystkich nici z kołami niezdecydowanemi, które węższą w polityce zaspokojenia próżności, pod płaszczykiem „ojczyzny“, ach! jak kochanej, które uśmiechają się na prawo, zerkają na lewo, gotowe ucałować rączkę proboszcza, pochlebić Świętochowskiemu, salutować przed rewirowym, zależnie od wiatru, jaki wieje, od prądu, jaki przeważa, od siły, która zwycięża lub ma widoki

zwycięstwa. Za żywy, okazowy wykładnik tego marazmu polityczno-społecznego uważałem wtedy i uważam dziś p. Konica i gorąco przed nim powstające stronnictwo ostrzegałem, przewidując, że będzie mu kulą u nogi, tamującą prawidłowy jego rozwój, czynnikiem najzgnubniejszym w każdym ugrupowaniu się ludzi głębokich przekonań, rozsadnikiem kołtuństwa, bezidejowości, bezładnej oscylacji. Że się nie myliłem, opierając się na całej działalności p. Konica, że trafnie go oceniłem, o tem młode stronnictwo przekonało się nie tylko z powodu komunikatu, ale w ciągu całego jego oporu przeciw kierowaniu nawy stronnictwa tam, gdzie do postępu dodaje się słóweczko „zdrowy“, do wolności — „bez wyuzdania“, do ojczyzny — (impl.) nie dla wydziedziczonych. Oto czemu, wbrew zbyt może ryczałtowym uwagom autora w № 8 „Społeczeństwa“ o rozłamie w Zjednoczeniu Postępem, wydaje mi się ustąpienie pp. Konica, Rapaporta, Tykocinera, Grossówny *et tutti quanti* za puryfikację stronnictwa, za pomyślną wróżbę jego uzdrowienia, jaką jest zniknięcie źródła rozstroju, dezorientacji i handlarskiej kalkulacji, przez co każdy, a zwłaszcza polski postęp, może jedynie wzmocnić się i ożywić.

Czesław Hulanicki.

KRYTYKA I SPRAWOZDANIA.

Arnold Schifman. *Pankracy*. August I. Warszawa-Kraków 1909 r.

Książka p. Schifmana jest nieporozumieniem, a ci którzy ją czytają ulegają złudzeniu, wyobrażając sobie, że mają przed sobą satyrę wymierzoną przeciw socjalizmowi. Tymczasem tak zupełnie nie jest! Trudno nazwać satyrą utwór pozbawiony humoru, rehabilitujący swoje istnienie jedynie pomysłem, dobrym w założeniu choć silnie zestarzałym!... Tak samo ideały Marksa bynajmniej nie zostały obniżone postępowaniem p. Pankracego, którego p. Schifman tendencyjnie wysmiewa, rozciągając patronat swojej rzekomej złośliwości na całą jego rodzinę, bardzo zresztą nieciekawą! Jest to raczej umiejętnie podpatrzenie słabostek ludzkich — u tych, którzy przypadkowo znaleźli się na pewnej wysokości, w stosunku do otoczenia swego. Stąd narodziny satyry, która bynajmniej nie osiąga zamierzonego celu. Autor zaznaczywszy egoistyczną ciasnotę dążeń przywódców ruchu, przez siebie nie bez mozołnych wysiłków skomponowanego, gubi się w wadach zbyt znanych każdemu, aby można było przypisać je degeneracji idei. Przyczyną wszystkiego, jest to, że p. Pankracy przestawszy cierpieć, przestał jednocześnie cierpienie rozumieć. Stąd jego umiłowanie błyszczących mundurów, stosunków z zagranicznymi dworami i t. d. Wszystko to jednak nie daje tyraństwa. Pankracy jako człowiek słaby, próżny i prymitywnych namiętności, zapomniał doszedłszy do władzy — o tych, którzy szli razem z nim, ale zostali na dawnych stanowiskach! To jest bardzo nieszlachetne, i każdy o tem wie. Dlaczegoż zatem p. Schifman napisał powieść, skoro nic nowego nie miał do powiedzenia? A właściwie dlaczego przeniósł spłowiata sztukę, wyobrażając sobie, że na drugiej stronie znajdzie — satyrę?... Niewiem! Nie zawsze, jak widać, konieczność jest kamieniem węgielnym utworu. Pan Schifman napisał swoją powieść, bez wyraźnego powodu!...

St. Kiedrzyński.

Z POEZJI.

Sawitri. *Poezje.*

W poezji Sawitri brzmi tęsknota, krzyk o życie, skarży się znużenie, płacze beznadziejność. W rzadkich chwilach pogody, poetka widzi i podziwia przepych świata a wtedy wypłytnie z pod jej pióra wiersz nieraz czarująco - melodyjny, liryczno-opisowy, bez refleksji i zgrzytów.

Naogół należy Sawitri do niższego szeregu istot zwyciężonych przez życie. Rzadkie chwile opanowania „świata“ robią wrażenie raczej upragnionych, niż rzeczywistych. Są to najbardziej patetyczne momenty w poezji Sawitri i najmniej bezwzględnie szczerze.

Myślowo nie zajmuje Sawitri odrębnego stanowiska. Poezja jej jest darem uczucia, nie intelektu. Sprzeczności uczuciowe nie kłócą się w niej i nie walczą o pierwszeństwo. Ponad ogólną mgłą znużenia wybija się pragnienie szczęścia. Jest to zasadniczy motyw i gwiazda przewodnia poetki:

Mój piękny ból, mój wielki ból,
w nim szczytnie dusza kona,
niby draperji ciężkich zwój
opływa mi ramiona.

Lecz ja ten płaszcz, szkarłatny płaszcz,
królewskie me przepychy.
odprzedam, byle chciał kto wziąć,
za szczęścia łachman lichy.

Dużo skarg, rezygnacji i przekonania, że los, szczęście, zbawienie zależy od świata zewnętrznego, bóstwa, mężczyzny, społeczeństwa, wypadku...

Edward Słoński. *Jeszcze wciąż pełen wiosny.*

W tym poecie uderza nieliczność jego splotów uczuciowych i ich zdecydowany charakter. Tęsknota nieodrodna córka wszystkich naszych poetów, smutek, żal (za uciekającą młodością — struna często targana dłońmi naszych poetów), trochę rezygnacji, trochę goryczy (ale nie wrócej, łagodnej) melancholja (ale nie bezwzględna) — barwy wypłowiałe, gobelinowo-szare. I to wszystko, niezamącone żadnymi domieszkami filozoficznymi, leży sobie jak na dłoni: przychodź i wachaj, przyjacielu, kwiaty wędnące!

Jest to poezja szczerą, lecz nie upajającą. Duszę przyzwyczajoną do problematów, tęgich napojów, złożonych uczuć i ostrych palących sprzeczności — poematy Słońskiego zdziwią, a nawet — orzeźwią. Ale wpływ ich będzie szybko ulotny.

Niema tu głębszych zadań. Pluszcze słodka beznadziejność, poeta mówi o trumnach, rozpierzchnych złudzeniach i innych smutnych rzeczach. Stoi w centrum nieszczęsnych faktów, bezradny i rozżalony:

Na dalekie, na błękitne rozlewy
poleciały białe mewy — hej, mewy...
Poleciały białe mewy o świecie —
i już giną, jak motyle, w błękicie.

Pod wysokim, lazurowym namiotem
stoję cichy, upojony ich lotem —
białe mewy jeszcze w dali migocą,
a ja nie wiem dokąd lecą i po co?

Mieczysław Finkelstein Ziębowski. *Szał.* Poezje: Serja I i II. Hymn (z cyklu: Pieśni Płomienne).

Najwięcej zdrowej woli i uczuć męzkich zawierają poezje Finkelsteina — Ziębowski. Od pierwszych młodzieńczych poematów („Szał“) aż do „Hymnu“ z roku ubiegłego, przez twórczość Ziębowskiego idzie potę-

żna fala życiowej energii. Wzmaga się, sięga zenitu w sferach pełnych poczucia siły i tryumfu, to znów opada do poziomu skarg i rozpaczliwego zniechęcenia. Widok podobny, jak u innych poetów złą różnicę, że wysokość fali u Ziębowskiego jest większa, a jego rozpacz i radość płyną zawsze z poczucia harmonji lub dysharmonji z kosmosem. W poematach tych czuć zdrowe tchnienie szerokiego horyzontu i nieustanną badawczość myśli, skierowanej ku zagadnieniom takim, jak tragizm życia, istotna moralność, stosunek jednostki wyższej do ogółu, stosunek kobiety. Jest to zapewne najfilozoficzniejszy z młodych poetów. Nieustanną troską poetyzną Ziębowskiego jest zagadnienie Śmierci. Najbardziej dojrzały i męzki poemat tego poety „Hymn“ jest apoteozą ducha, który przez wolę pokonywa śmierć i osiąga wyższy byt prometejski. W poemacie tym gromi poeta istoty zaprzędane złudom rozkoszy i zmysłowemu wegetowaniu.

W poezji Ziębowskiego uderza szczerłość i dążenie nie do ozdobności, lecz do wyrażenia tego, co w człowieku jest substancjonalnie cenne. Zdarzają się strofy pełne zawrotnej radości, inne — surowe i pyszne, inne jeszcze pełne elegijnego smaku i *szlachetności*, jak następujące:

Na moje piersi upadł, zmiłowania zebrze
Słotny dzień, — a w ulicy przez pustkę bezludną
W świetle gazowych latarni mieni się, jak w srebrze,
Wóz żałoby — i wiezie czyjaś dolę trudną.

Za wozem nikt nie idzie, Deszcz pada na trumnę
Jak lzy, wydarte duszy snom nie wiedzieć poco,
Tam pewnie leży serce z wszystkich kłesk swych dumne,
Co szczęścia brać nie chciało dla siebie przemocą.

(„Trumna“).

Z POWIEŚCI.

Alicja Szamota. *Orły.* Fragmenty z życia, z przedmową Celyji Walewskiej.

Są książki pełne błędów (jak istoty upadłe), przesady stylowej, przeładowania, grzechów przeciw artyzmowi, ale mające *wartość*, jaką stwarza każda odrębna indywidualność. „Orły“ tej wartości nie posiadają. Jest to rzecz wysoce poprawna. Poprawny, czysty język, poprawna moralność, poprawna postępowość, poprawna naiwność i poprawna, dość umiarkowana, gadatliwość. Autorka jest moralnie zdrowa, inteligentna i postępową, lecz poza tem nie ujawniła w „Orłach“ głębszej treści swego „ja“. „Orły“ zarysowane są płasko zewnątrz. Wiele szczegółów, jest np. samobójstwo Kańskiego z powodu nieodwzajemnionej miłości, wygląda wprost zagadkowo i nie robi wrażenia, bo autorka opowiadając zdarzenia nie umiała wskazać dusz. Czytelnik zasiada do czytania każdej książki ze skrytą, nieświadomą nieraz tendencją, że ludzie, których tam znajdzie są mu obcy. Rzeczą autora jest zważyć to uprzedzenie i za pomocą piękna zmusić czytelnika do obcowania *życia* z duszą, którą on stworzył.

Postaci Miry, Marty, Hali, o ile je odgadnąć można z mgły słów autorki, są sympatyczne i godne szacunku, lecz nie zostały ukazane z tą sztuką, która nieodwołalnie nawiązuje nić łączności między czytelnikiem a utworem.

L. Ch.



Z TEATRU.

Pijani—dramat w 4-ch aktach Wacława Grubińskiego. („Teatr Rozmaitości“).

Władysław Dargocki kochał niegdyś — przed dziesięciu laty — młodą pannę Jadwigę. Potem wyjechał, został znakomitym autorem, a ona żoną bogatego przemysłowca (aby było czem łzy obetrzeć!). Lecz nie zerwał się związek dwojga dusz. Wszystko, co pisze Dargocki, jest jakby listem, wysyłanym do kobiety, którą po dawnemu kocha. Ona czyta go z zapałem i rozumie. Wreszcie Dargocki wraca i spotyka Jadwigę. Ta chwila decyduje o wszystkim, co się dzieje później. Długotrwała, rozręskana miłość wybucha płomiennie. Jadwiga jak przystało na żonę bogatego przemysłowca i szanującą się kobietę—z początku jest oburzona, a po chwili — wniebowzięta. Okazuje się, że pomimo korpu-lentnej postawy przemysłowiec nie zadawalnia jej duszy. Wszystko to wychodzi na jaw w pięknej scenie 2-go aktu. Dargocki żąda, aby Jadwiga opuściła męża i szła za nim. Jadwiga nie śmie się na to zdecydować, bo się boi, żeby jej mąż nie odebrał sobie życia. Nie chce, by cudza krew zaciążyła na jej sumieniu. Ktoś wchodzi i przerywa ich rozmowę. Później Dargocki rozmawia z przemysłowcem Skorowskim i żąda, aby mu oddał Jadwigę. Jakiem prawem? pyta oburzony Skorowski. Prawem szczęśliwszego—odpowiada Władysław Dargocki. (Trzeba przyznać — że prawo równie dobre, jak każde inne). Pod wpływem przekonywających argumentów nieszczęśliwy mąż mięknie, słabnie i gotów jest w końcu zgodzić się na to żądanie. Nawet życia sobie nie odbierze. Ale Władysław żąda nowej rzeczy—aby Skorowski się z nim bił. Albo lepiej zagrają w karty — o życie. Kto przegra—w łeb sobie strzeli. Nagle wchodzi Jadwiga i miesza karty. Później Władysław siada na dzikiego konia Szatana, spada, mocno się tłucze, chwilowo głuchnie i chce sobie w łeb strzelić, od czego go powszystrzymuje pamięć o ojcu. Wreszcie ginie z ręki melancholika brata, który zabija go pod wpływem chorobliwej podejrzliwości, że Władysław bałamuci mu narzeczoną.

Sztuka w dwóch aktach zrozumiała i konsekwentna, a w dwóch ostatnich — chaotyczna i ciemna dla widza z tego powodu, że autor niedoświadczony w technice dramatycznej zbyt skąpo oświetlił dwie postacie: Władysława i brata jego, Karola. Co znaczy, że Władysław chce się bić ze Skorowskim, że dosiada Szatana i że chce się zastrzelić w chwili gdy, jak się zdaje filistrowi, szczęście jego realizuje się w sposób najbardziej pożądany, bo Skorowski oddaje mu Jadwigę. Co znaczy wreszcie owa chwilowa głuchota Władysława i to, że właśnie w chwili głuchoty najbardziej się szamocze z sobą?

Są ludzie, dla których urzeczywistnienie ich marzeń jest największym niebezpieczeństwem. Są ludzie zdolni do wielkich upojeń, do wybuchowych momentów, lecz nie zdolni do życia praktycznego. Do takich ludzi należy Władysław. Kobieta wymaga nie tylko miłości, lecz poświęcenia, rozsądku, cierpliwości, umiejętności znoszenia życia trzeźwo. Władysław chce zginąć, bo pomiędzy nim a Jadwigą po usunięciu Skorowskiego staje jako wróg jego własna natura. Przeczuwa on, że może Jadwigę *posiąść*, lecz nie może jej *posiadać*. Chwila głuchoty—odcięcia od wpływów zewnętrznych — jest chwilą najbardziej serjo, bo właśnie w owej chwili otchłań i niemoc, którą — ad majorem gloriam ludzi praktycznych—nazwać można degeneracją.

Że człowiek może zginąć nie tylko skutkiem własnego szaleństwa i urojenia, lecz skutkiem szaleństwa obcego — mógłby udowodnić strzał Karola, gdyby autor ostrzegł zczasu, w jakich mrokach podejrzliwości i fanatyzmu błądzi dusza Karola. Strzał byłby konsekwencją szaleństwa, dziś — jest rażącą niespodzianką. Robić młodą dziewczynę tłumaczką czyjejś duszy, (bo

jedyną tłumaczką duszy Karola — jest Marja) jest na scenie rzeczą nieodpowiednią dlatego, że młodą dziewczynę uważają wszyscy za wcielenie kokieteryj i z tego jedynie stanowiska na nią patrzają.

Srodki sceniczne w aktach końcowych chybiły. Lecz już samo postawienie na scenie człowieka, który ośmiela się kochać przez lat dziesięć — to jest, który ma pamięć długotrwałą dla pewnych wartości duchowych — jest w epoce opanowania sceny polskiej przez „Panią Dulską“ rzeczą cenną i godną uwagi.

Sceny takie, jak żądanie Dargockiego, by przemysłowiec Skorowski oddał mu swą własną (i z takim wielkim nakładem wystrojoną!) żonę raz dobrze znaną lojalność warszawskiej burżuazji, dalekiej od pięknego dandyzmu à la Barbey d'Aureville. Postać drugorzędna — Marja Grodzicka — jest bardzo prawdziwą i dobrze narysowaną.

„Dla rubla“ — komedia w 4-ch aktach Kazimierza Zalewskiego. (Teatr Rozmaitości).

Baronowa, mocno podstarzała, dzięki przypadkowemu spotkaniu się z niejakim Woyzgirdem, który rozniecił w niej płomień miłości, postanawia dokonać reformy wielkiego banku, którego jest główną akcjonariuszką. Usunie złodziejski zarząd, ukróci nadużycia i t. d., stawiając Woyzgirda na czele zamierzonej reformy. Wśród członków zarządu popłoch. Ale błyska myśl zbawcza. Oto trzeba zniechęcić baronową do Woyzgirda, nasuwając podejrzenie, że jej wybraniec ma kochankę. Rolę kochanki odgrywa bezwiednie dawna znajoma Woyzgirda, nauczycielka — panna Korska. Intryga się udaje. Zraniona w swej godności niewieściej baronowa zręka się reform i wyjeżdża za granicę. W banku wszystko zostaje po dawnemu. Podłość święci tryumf.

Na tem tle rozsnął autor galerję postaci ze sfer finansowych. Wyżsi dostojnicy bankowi z drapieżną chciwością maczają ręce w cudzej własności, urzędnicy dla awansu zamykają oczy na nierząd swych żon, płaszczą się wobec potentatów złota, a zachowują z arogancką butą wobec podwładnych. Sprzedajna prasa idzie ręką w rękę ze złodziejami publicznego grosza, pobierając sute łapówki za milczenie i t. d.

Woyzgird, który chce działać uczciwie, zostaje pokonany i usunięty; panna Korska, bez najmniejszej z jej strony winy, staje się w brudnych rękach nikczemnej intrygi...

Słowem — sfera przegniła do rdzenia. Obok nikczemnego pościgu za rublem — późno-jesienna miłość baronowej — kobiety ze sfer wyższych, dla której wszelka pożyteczna działalność jest kaprysem, zależnym od zmiany humoru.

Sztuka mocno żółciowa, pisana z oratorską swadą.

Leon Choromański.

RUCH ROBOTNICZY.

STRAJKI.

Związek fabrykantów moskiewskiego okręgu przemysłowego wydał „biuletyn“ o stanie ruchu robotniczego w ostatnim kwartale r. z. Czytamy tam między innymi:—Znaczne zmniejszenie ilości robotników w fabrykach i zakładach przemysłowych w ostatnim kwartale r. z., zamknięcie niektórych z nich i pożary przedsiębiorstw przemysłowych, które przybrały charakter epidemiczny, utrudniały robotnikom możliwość przeprowadzania z powodzeniem strajków w okresie wspomnianym. „Tym sposobem przedłużający się kryzys finansowo-ekonomiczny państwa przyspieszył likwidację zdobywczy rewolucyjnej klasy robotniczej.

Grupując stosunki według okręgów przemysłowych widzimy, że najczęściej zdarzały się one w Polsce: w Warszawie i Łodzi. Charakterystycznym jest, że biuletyn związku fabrykantów zaznacza, że w niektórych wypadkach administracja fabryczna w dążeniu do złagodzenia zatargów z robotnikami, zwracała się do „Związku fabrykantów Łódzkich“ z oświadczeniem, iż niezbędnym jest powstrzymać dalsze obniżanie płacy zarobkowej, a policmajster łódzki zaproponował wszystkim fabrykantów, aby w razie obniżania płacy robotnikom, zawiadamiali go niezwłocznie nie tylko o wysokości obniżki, lecz również o wysokości dawnej płacy zarobkowej.

Zmniejszenie płacy zarobkowej robotników przemysłu skórznego na Litwie o 30% doprowadziło do drugiego strajku. Następstwem tego było zamknięcie zakładów garbarskich w Smorgoni i Wilnie i utworzenie związku właścicieli garbarni.

W Inflantach strajków było mało; w październiku był w Rydze strajk polityczny na pamiątkę wypadków rewolucyjnych r. 1905; za strajk ten robotnicy zostali ukarani potrąceniem zarobku za pół dnia.

W Petersburgu w okresie sprawozdawczym strajkowano w 8 fabrykach. Największy strajk był w fabryce braci Leontjewów, gdzie wobec niezgodzenia się ślusarzy na pracę 10 godzinną zamiast 9 godzinnej, usunięto 600 robotników. Drugi wybitniejszy strajk petersburski był w elektrowni „Helios“, gdzie z powodu usunięcia 8 palaczy wydano 180 robotników. Charakterystyczne jest, że łamistrajkom wydawano po 40 do 100 rubli gratyfikacji. W wielkich fabrykach tytuńowych zamieniano na wielką skalę pracę ręczną na maszynową, wskutek czego postradało zarobek około 4,000 robotników, a pozostałym zmniejszono zarobki o 15 — 20%. W fabrykach bawelnianych okręgu petersburskiego znów zastępowano pracę męską pracą kobiecą, przyczem około 7,000 robotników straciło zarobek.

Walka fabrykantów z robotnikami ujawniła się w ostrej formie nawet w Finlandji „Ogólno-Finlandzki Związek Pracodawców“ ogłosił lokaut w przemyśle metalowym; trwał ten lokaut 1½ miesiąca, obecnie jest on przerwany dzięki pośrednictwu Senatu Finlandzkiego. Dnia 28 listopada r. z. ogłosili lokaut papiernicy finlandzcy. Domagali się oni, aby robotnicy pracujący 8 godzin na 3 zmiany pracowali 12 godzin na 2 zmiany. Ten lokaut wywołał strajk powszechny robotników drzewnych, drukarzy, elektrowni, a nawet robotników miejskich. Strajk popierany był przez organizacje robotnicze Danji, Norwegji i Niemiec. O wynikach tego ogromnego starcia kapitału z pracą biuletyn fabrykantów moskiewskich nie wspomina.

W okręgu fabrycznym moskiewskim w okresie wspomnianym strajków ani lokautów nie było wcale, z czego biuletyn fabrykantów moskiewskich wyprowadza wniosek, że „w warunkach pracy robotników fabryczno-przemysłowych naszego okręgu zmian zasadniczych dotąd nie było“.

Bilansując ruch fabryczno-przemysłowy w okresie sprawozdawczym, biuletyn pisze: zmniejszono znacznie ilość robotników w 16 fabrykach; zamknięto 5 fabryk; spaliło się 18 fabryk.

RUCH ZAWODOWY.

POLSKI ZWIĄZEK ZAWODOWY ROBOTNIKÓW DRZEWNYCH.

W niedzielę ubiegłą odbyło się zgromadzenie ogólne członków polskiego związku zawodowego robotników przemysłu drzewnego.

Związek ten liczy minimalnie 770 członków, faktycznie jednak rozporządza znacznie mniejszym zastę-

pem robotników, połowa bowiem prawie nie płaci składek.

Jakkolwiek ustawa nakazuje 60% wpływów przeznaczać na fundusz zapomogowy, a tylko 30% na fundusz administracyjny, to jednak, w r. z. wydano na sumę pensje 337 rb. 75 kop., a na zapomogi 361 rb. 70 kop., a więc same pensje pochłonęły prawie tyle, co zapomogi. Fakt ten zupełnie niemożliwy w każdym szanującym się związku zdarzyć się mógł w związku polskim robotników drzewnych dla tego, że — zwyczajem utartym w polskich związkach urzędnikiem płatnym związku był jeden z członków zarządu. Niewłaściwość tę wytknięto i funkcjonariuszowi, pochłaniającemu lwią część funduszy, wymówiono miejsce, a no lepiej późno niż wcale.

Mimo to budżet wykazał niedobór w sumie kilkunastu rubli, niedobór ten, który uchwalono pokryć z kapitału zapasowego — związek zawdzięcza to znacznej mierze temu, że zarząd zamiast myśleć o obronie interesów ekonomicznych członków, zaczął się bawić w klub i urządzać przedstawienia teatralne, wycieczki i t. d. Przedsiębiorstwa dały stokilkadziesiąt rubli strat. Mimo to imprez tych na przyszłość się nie wyrzeczono.

Nieogłędne szafowanie groszem nie jest zresztą jedyną winą zarządu związku, ma on na sumieniu grzech znacznie poważniejszy, bo kiedy komisja rewizyjna widząc rozpaczliwy stan interesów związku, zażądała zwołania nadzwyczajnego zebrania ogólnego, zarząd oparł się temu żądaniu i zebrania nie zwołał.

Innym rysem charakterystycznym zarządu owego były motywy, dla jakich nie urządzał odczytów, okazało się, że „nie można było znaleźć prelegentów“; wierzymy, że wśród „narodowych uczonych“ mogło niebyć odpowiednich sił, dlaczegoż jednak nie szukano znawców sprawy robotniczej tam, gdzie ich szukać należy i gdzie ich związki bezpartyjne znajdują, to jest w liczbie byłych wykładowców Uniwersytetu dla wszystkich?

Wogóle zarząd polskiego związku zawodowego robotników drzewnych ujawnił niedołęstwo i opieszałość. Godną lepszej sprawy energję ujawnił zarząd ów jedynie w sprawie popierania „Życia Robotniczego“, urzędówki polskich związków. Przeprowadzono pod sam koniec zebrania — kiedy na sali zostało może 30 członków — uchwałę, że każdy z członków musi prenumerować 1 egzemplarz „Życia Robotniczego“, a ponieważ związek liczy 770 członków, więc haracz na rzecz „Życia Robotniczego“ wyniesie 770 rubli rocznie.

W swoim czasie gminom nakazywano prenumerować wydawaną przez rząd „oświatę“, a właścicielom domów „Gazetę policyjną“, czasy te jednak minęły — na szczęście. Teraz „Życie Robotnicze“ chce wskrzesić ideę przymusowej prenumeraty.

Jak zaś robotnicy nawet narodowcy odczuwają potrzebę prenumerowania „Życia Robotniczego“, świadczy fakt, że podczas gdy Związek Drzewny z początku brał 53 egzemplarze tego pisma, to obecnie bierze go 20 numerów zaledwie. Uchwała jednak co do prenumeraty przymusowej przeszła; zebraniu przewodniczył współredaktor „Życia Robotniczego“ p. Stegman.

KRONIKA.

— W Łodzi, wykryto większy skład broni i literatury nielegalnej; aresztowano kilkanaście osób.

— Kilkudziesięciu studentów wtargnęło do gmachu Politechniki i usiłowało przerwać odbywające się w kilku salach wykłady. Wezwano policję, która spisała nazwiska studentów, usiłujących przerwać wykłady. Z rozporządzenia władz administracyjnych, aresztowanych onegdaj w politechnice 39-iu studentów skazano na miesiąc aresztu. Osadzono ich w więzieniu przy ul. Spokojnej.

— Policja dowiedziała się, że uczniowie klasy szóstej II-go gimnazjum męskiego w Warszawie wydają czasopismo hektografowane. Dokonano rewizji u wielu gimnazystów i skonfiskowano egzemplarze tego pisma. Z sześciu aresztowanych, uwolniono 5-ciu; w więzieniu został tylko jeden z nich, Rafałkes, którego policja oskarża, że był „redaktorem” czasopisma. Uwolnionych gimnazystów oddano obecnie pod sąd dyscyplinarny rady pedagogicznej przy gimnazjum.

— W Petersburgu, w niedzielę ubiegłą, do gmachu instytutu psychoneurologicznego przybył oddział policji i około 50 agentów wydziału „ochrony”. Wszystkie wejścia, oraz audytorja na niższych piętrach zostały natychmiast obsadzone przez policję. Nie znalazłszy nic w niższych audytorjach, agenci „ochrony” skierowali się na 3-cie piętro, do laboratorjów, gdzie odbywały się zajęcia praktyczne. W laboratorjum psychologicznym było 30 osób; osoby te zrewidowano i aresztowano. Wśród nich był jeden tylko student instytutu. W laboratorjum antropologicznym odbywały się zajęcia praktyczne z logiki. Znajdujących się tu słuchaczy i słuchaczki również aresztowano. Zrewidowano wszystkie aule, pokój profesorów, audytorja, bibliotekę, oraz mieszkania pedeli.

— Zmarł doktor Teodor Dunin, znakomity lekarz praktyk i autor wielu prac z dziedziny medycyny naukowej.

METROPOLIS.

(Ciąg dalszy).

Mówiąc Zygfryd Harwey patrzył Allanowi w twarz jasno niebieskimi oczyma. Niepodobieństwem było wątpić o jego uczciwości.

— Jestem Panu bardzo wdzięczny — rzekł Montague. Niech mi pan powie otwarcie, co pan ma na sercu.

— All right — rzekł Harwey. Podjąłeś pan proces, który pociągnie za sobą wiele ofiar z pańskiej strony. Otóż — przyszło mi do głowy zapytać, czy z pańskich zachodów nie będą zbierać owoców inni?

— Jakto? — spytał Montague.

— Czy pan zna ludzi, których jesteś pełnomocnikiem? Czy zna ich pan tak dobrze, żeby wiedzieć, jakie są ich pobudki w danym wypadku?

Montague się zawałał.

— Nie — rzekł — tego dokładnie nie znam.

— A więc jest tak właśnie, jak myślałem — odparł Harwey. Jesteś pan uczciwym człowiekiem i w najlepszej wierze zadajesz pan sobie wiele trudu, pracy i kłopotu. Ale, jeśli się nie mylę, zostaniesz wyzyskany przez ludzi, którzy uczciwymi nie są. Nie pracowałbyś pan dla nich, gdybyś pan znał ich cele.

— Cóż to mogą być za cele?

— Może być rozmaicie. Po pierwsze, proces może mieć na celu zatamowanie działalności towarzystwa — może jest ktoś, co zapłacił grubą sumę, aby sprawę podjęto. Ogromna większość tak sądzi o tej sprawie. Lecz ja mam inne zdanie. Wydaje mi się rzeczą o wiele prawdopodobniejszą, że to intryga kogoś z towarzystwa przeciw zarządowi.

— Ale — któżby to mógł być? — zapytał Montague.

— Tego nie wiem. Nie jestem tak dobrze wtajemniczony w sprawę „Fidelity”. Wiem tylko, że jest kilka klik, które zawzięcie intrygują przeciw sobie i chcą oświadczyć administracją towarzystwa. Te kliki wściekle się nienawidzą i uczyniłyby wszystko na świecie, aby sobie wzajemnie szkodzić. Wiedzą oni, że czterdzieści milionów przewyżek są w ich ręku olbrzymią potęgą. I dlatego walczą olbrzymi finansowe o prowadzenie tego przedsiębiorstwa. Nikt nie wie, gdzie tu jest prawda. Jest tu gra fałszywymi kartami i nic tu nie jest w samej rzeczy takie, jakiem się wydaje.

Montague słuchał tych słów oszołomiony. Zdawało mu się, że ziemia się pod nim chwieje.

— Czy pan wie o ludziach, którzy pana wciągnęli w tę grę? — spytał nagle Harwey.

— Niewiele — odparł Allan.

Harwey zawałał się przez chwilę.

— Niech mnie pan nie zrozumie fałszywie — rzekł. Nie mam wcale zamiaru wdierać się w pańskie tajemnice. Ale prawdę lubię powiedzieć, że ta sprawa wyszła od sędziego Ellisa.

Teraz Montague zawałał się przez chwilę. Wreszcie rzekł:

— To prawda — ale niech to zostanie między nami.

— Dobrze. To właśnie usposabia mnie nieufnie. Czy pan zna Ellisa?

— Słyszałem o nim nieco — rzekł Montague — Zapewniam pana, że Ellis może się wdać w konszachty bardzo wątpliwe. Niech pan będzie ostrożny.

Słowa Harweya przygnębiły Allana. Zdawało mu się, że się wdał w ciemną sprawę, że wystrychnięto go na dudka.

Podziękował Harweyowi za przyjacielskie ostrzeżenie i po powrocie do domu, długo rozmyślał nad sprawą. Dotąd wszystko w tej sprawie wydawało mu się proste, teraz wszystko stało się ciemne i niepewne. Praca podjęta dla tej sprawy wydała mu się bezowocną. Chciał zbudować dom na lotnych piaskach. Zdawało mu się, że jest służalcem chytrej intrygi, łajdakiem w służbie łajdaków. Czuł, że na początku życiowej kariery, podstawiono mu nogę.

Następnego dnia udał się do Albany, aby pomówić z sędzią. Wyłożył on przed nim spokojnie, że doszły go pogłoski, jakoby wiele osób, sądziło, że proces, który prowadzi, podjęto dla osobistych celów kilku osób i że bardzo mu to ciężko, iż nie wie nic o swych klientach. Zakończył swe wynurzenia oświadczeniem, że przyjechał, aby się poradzić sędziego.

Wielki człowiek nie stracił nic ze swej dobroci i taktu. Odparł, że zwracał już uwagę Allanowi, że wrogowie będą nań napadać i oczerniać go, że użyją wszelkich przebiegłych środków, aby zachwiać jego postanowienie. Mniejsza o to, że z pogłoskami takimi przychodzą do Allana jego własni przyjaciele. On — sędzia — nie chce nawet wiedzieć, o czym ci przyjaciele zawiadomili Allana.

Potem sędzia wyraził nadzieję, że cokolwiek dojdzie do uszu Allana — ten nigdy nie uwierzy w to, że sędzia Ellis mógłby go wciągnąć w sprawę nieczystą.

— A czy może mnie pan zapewnić, że poza Mr. Hasbrookiem nie stoją osoby zainteresowane?

— Osoby zainteresowane? — spytał sędzia.

— Mam tu na myśli osoby, które mają do czynienia z „Fidelity” lub innymi towarzystwami od ubezpieczeń.

— Nie, otem pana zapewnić nie mogę.

Montagne spojrzął na sędziego zdziwiony.

— Chcesz pan przez to powiedzieć, że nic pan o tem nie wie?

— Chcę powiedzieć, że nie mogę udzielić panu otem informacji, chodźbym i wiedział — brzmiała odpowiedź.

Montague zrobił na sędziego wielkie oczy. Nie był przygotowany na tak wielką otwartość.

— Nigdy nie myślałem otem — rzekł sędzia — aby ta obojętność miała w oczach pana taką wagę.

— Ale... — zaczął Allan.

— Niech mnie pan dobrze zrozumie. Mr. Montague — rzekł sędzia. Proces wydawał mi się rzeczą słuszną i pan byłeś tego samego zdania. Sprawa podjęta została w sposób poważny — zapewniam pana. Czy pan Mr. Hasbrookiem stoją zainteresowane osoby, czy nie stoją — to jak sądzę, nie jest rzeczą ważną. Niech będzie, że niektóre osoby, obrażone przez zarząd „Fidelity” chcą się na mnie zemścić. Czyż dlatego adwokat ma się wyrzec tej sprawy? Albo weźmy inne przypuszczenie, że w łonie towarzystwa toczy się walka kilku klik. Mówiono już panu otem, nieprawdaż? Jest to przecie nie-

zgoda między złodziejami? Czyż publiczność nie powinna skorzystać z tej niezgody i wyciągnąć z niej korzyść dla siebie?

Sędzia przemawiał w ten sposób dość długo. Mówił uprzejmie, żartobliwie, dowcipnie i kusząco. Z jego zdań wygładzonych i płynnych Allan wyczuł myśl, która chociaż niewypowiedziana była *melodją* każdego słowa w ustach sędziego. Oto młody adwokat otrzymał ładne honorarium za sprawę łatwą i czystą. Jako rozumny, światowy człowiek nie może on przecie żądać, aby go wtajemniczano w jądro sprawy. Plotki miejskie zaniepokoiły młodego prawnika, lecz on — sędzia — może go uspokoić i upewnić, że honorarium, jakie otrzymał, może zatrzymać nadal z czystym sumieniem.

Ta rozmowa z sędzią przekonała Allana, że klient jego jest „słomianym człowiekiem i że rzeczywiście chodzi o niezgodę między złodziejami i że niema najmniejszej pewności, czy nie wystrychną go ci ukryci poza plecami Mr. Hasbrooka klienci — na dudka.

ROZDZIAŁ IX.

Montague wrócił do domu z przekonaniem, że trzeba być ostrożniejszym. Obawiał się, że za swą łatwowerność będzie musiał drogo zapłacić.

Tego dnia przyszedł do niego jakiś jegomość — na karcie wizytowej stało nazwisko: Mr. John C. Burten. Zarekomendował się jako agent towarzystwa, które wydawało znane pismo sensacyjne dla bogatych sfer. Towarzystwo miało wydać luksusowe dzieło dla najwybitniejszych rodzin New-Jorku: rzecz wyjątkowo wspinała — udział w abonamencie najwykwintniejszych kół zapewniony — kosztować będzie tysiąc pięćset dolarów. Może i pan Montague zechce się podpisać na liście prenumeratorów!

Montague odparł grzecznie, że jest on w New-Jorku jeszcze niemal obcy; że książka tego rodzaju nie może zbytnio go interesować.

Agenta odpowiedź ta nie zadowoliła. Zaczął przekonywać Allana, że jak obcy nie umie ocenić doniosłości wydawnictwa tego rodzaju, Niechby się poradził swych przyjaciół. Ci z pewnością będą innego zdania — i tak dalej...

Wreszcie młodego adwokata zniecierpliwiła ta natrętność. Wstał i rzucił agentowi energicznie:

— Dobranoc panu!

Ochłonawszy z gniewu miał pewne zaniepokojenie. A po kilku dniach kupił sobie numer owego pisma i znalazł tam nowy artykuł!

Stanął na rogu ulicy, aby przeczytać to, co go zainteresowało. W artykule była mowa o młodzieńcu wyszukanej elegancji, który usprawiedliwił się w gronie swych przyjaciół w niedyskrecji brata. Nie darowano też znanej gnieździe towarzystwa — zonie jednego z bankierów. Krew uderzyła Allanowi do twarzy, gdy czytał:

„Rozumie się, że istnieją rozmaitego rodzaju domysły co do przejranej nieco gorliwości, z jaką ta pani wzięła do serca sprawę towarzystwa ubezpieczeniowego. Wszystkim rzuca się w oczy fakt, że upodobanie do medjów osłabło znacznie w tej zmiennej pani od czasu, jak się ukazał młody, romantycznie wyglądający południowiec. A teraz całe towarzystwo czeka niecierpliwie na „denouement wysoce interesującej sytuacji“.

Te słowa podziały na Allana jak uderzenie w twarz. Szedł ulicą napół oszołomiony. Był to najbardziej oburzający fakt z tego wszystkiego, co przeżył w New-Jorku. Zacisnął pięść i mruzczał:

— Łajdaki...

Zrozumiał że jest bezsilny. W jego kraju rodzinnym obitoby redaktora takiego pisma. Ale tu znajdo-

wał się on w środowisku drapieżnych wilków i nic zrobić nie mógł. Poszedł do biura i siadł przy biurku.

— Droga pani — pisał do Mrs. Winnie — tylko co przeczytałem artykuł, w którym piszę o pani. Nie umiem wyrazić, jak głęboko jestem zmartwiony, że przyjazne, uczucie Pani względem nas stało się dla łotrów przedmiotem napaści. Jestem zupełnie bezsilny i mogę jedynie postarać się o to, aby na przyszłość oszczędzono pani podobnych nieprzyjemności. Niech mi pani wierzy, że ani na chwilę nie przypuszczam, żeby Pani mogła przywiązywać wiarę do tego paszkwilu. Nie zobaczymy się zapewne już nigdy, lecz ja zachowam wdzięczne dla Pani uczucie...“

Posłał list przez posłańca i wrócił do domu. Niezadługo odezwał się dzwonek telefonu.

To Mrs. Winnie telefonowała.

— Otrzymałam pański list — rzekła. Czy dziś wieczór jest pan zajęty?

— Nie — odparł Allan.

— To proszę, niech pan przyjdzie do mnie.

— Mrs. Winnie — chciał wtrącić młoby adwokat.

— Niech pan przyjdzie. Proszę pana o to!

— Boję się, że pani...

— Takbym chciała, żebyś pan przyszedł — rzekła pani Winnie po raz trzeci.

Montague rzekł:

— Dobrze więc — przyjdę.

Gdy się udał na wizytę na powitanie wyszła Mrs. Winnie. Policzki jej pałały, wyraz twarzy miała namiętny.

Była piękniejszą niż kiedykolwiek. Miała na sobie kremową suknię i purpurową różę na piersiach.

— Jestem dziś sama — rzekła i przyjmę pana w moich apartamentach.

Wprowadziła go do pokoju, gdzie stopy róż szerzyły cudowną woń. Przed płonącym na kominku ogniem stał stół o dwu nakryciach i dwa wielkie krzesła. Montague dostrzegł, że ręka pięknej pani drżała, gdy mu wskazywała miejsce. Była niezmiernie podniecona. Rzuciła rękawicę swym wrogom!

— Naprzód będziemy jedli, a potem mówili — rzekła. Będziemy mieli kilka chwil szczęśliwych...

I rzeczywiście zdawało się że jest szczęśliwa, że jej nerwy upaja dziwna rozkosz. Mówiła o nowej operze, o festynie u Graffenriedów, o balu u Ridgley-Clevelandów, o szpitalu dla dzieci, który miała budować, o mającym nastąpić rozwodzie Mrs. Tifi Patton. Służba snuła się tu i owdzie z milczącymi sfinksowemi minami. Kawę pili oboje w wielkich fotelach przed ogniem. Potem stół uprzątnięto, służba zniknęła i drzwi się zamknęły.

Montague odsunął od siebie filizankę i patrzył z posępną miną w ogień. Mrs. Winnie obserwowała go. Czas niejaki trwała cisza.

Nagle usłyszał jej głos.

— Czy tak łatwo przyszłoby panu wyrzec się mojej przyjaźni?

— Nie myślałem, czy będzie to łatwo czy trudno. Chciałem tylko bronić pani...

A czy pan przypuszcza, że mnie nie zależy na przyjaciółkach. Czy znam ich tak wiele? Czy pan sądzi, że ci nędzni ludzie zdołają mnie zmusić, abym robiła to, czego nie chcę. Ani myślę im ustąpić. Niech sobie Lelja robi, co jej się podoba!

Na twarzy Allana odbiło się zdziwienie.

— Lelja?

(D. c. n.).

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

Askenazy Szymon. Monografie w zakresie dziejów nowożytnych. 1.50

Bełza Stanisław. W zapomnianej stronie. —.60

Dostojewski T. M. Idjota, powieść 2 tomy. 4.50

Gamaston. Białe róże i inne nowelle. 1.50

Korolewicz W. Książę Popiel, tragedia —.85

Mniszek Helena. Trędowata, powieść 2 tomy. 2.50

Rydel Lucjan. Poezje. Wydanie trzecie. 1.35

Skirmunt K. Mindog król Litwy —.75

Szech Antoni. Na sąd was wzywam —.30

Winkler Edward. Z mojej teki —.30

Witkowski Piotr. Podręcznik dla maszynistów drukarskich —.50

Wojciechowski W. Jak poznawać ludzi? Klucz magiczny —.50

Barrès Maurice. Colette Bandoche. (Histoire d'une jeune fille de Metz). 1.40

Beaumarchais. Le Mariage de Figaro ou la folle journée. —.15

Bernstein Henry. Israël (Pièce en trois actes). 1.40

Berthaut Leon. Le Peuple de la mer. Nouvelles. 1.40

Buteau Henry. L'Otage. 1.40

Claretie Jules. L'Obsession (Moi et l'Autre). 1.40.

Coron. Le secret du dufleur Marceney. Roman d'Etudes criminelles. —.50

Dufay Pierre. Victor Hugo à vingt ans Glanes Romantiques. 1.40

d'Ennery Adolphe. Le remords d'un ange. —.40

Farrère Claude. La Bataille. —.75

Foley Ch. Tuteur. Roman. 1.40

Wszystkie powyższe książki są do nabycia w księgarni
G. Centnerszvera i S-ki, Marszałkowska 143..

SPROSTOWANIE. W № 9 w artykule p. t. „System wychowawczy białych sióstr” zaszła pomyłka. Pensja „Niepokalanek” od kilku miesięcy została przeniesioną z Komorowa do Szymonowa co się niniejszem prostuje.

Kapelusze strojne i angielskie, ubieram podług modeli paryskich. Szyję fasony ze słomy, włosiennicy, gazy i tiulu. Szykownie i tanio. **Bracka 23 m. 17, telefon 147-90.**

K. T. PIASECKI
SKŁAD PAPIERU I GALANTERJI
NOWY-ŚWIAT 21. Telefon 147-90.

Poleca w wielkim wyborze papiery listowe krajowe i zagraniczne. „Oceanic” szary batystowy na sztuki. Serwetki do ciast i owoców w 20-u pięknych deseniach, tuzin 20 kop. Znakomite Stalówki Kuhn'a. Karty wizytowe.

CENY NISKIE.

„Społeczeństwo”

Tygodnik polityczno-społeczny, naukowy i literacki.

W dziedzinie politycznej „SPOŁECZEŃSTWO” reprezentuje idee wolnościowe i demokratyzacji form państwowych, swobód obywatelskich, samorządu narodowego.

W zakresie nauki, literatury i sztuki „SPOŁECZEŃSTWO” jest wyrazem wolnej myśli i niezależnego badania.

W roku 1909 prenumeratorzy jako **bezpłatny dodatek** otrzymają dwa dzieła, oryginalne i tłumaczone:

J. WŁ. DAWIDA: INTELIENCJA, WOLA I ZDOLNOŚĆ DO PRACY. (Metody ich rozpoznawania i kształcenia).

E. RENANA: APOSTOŁOWIE.

Warunki prenumeraty „Społeczeństwa”:

ROCZNIE	w Warsz.	Rb. 7 kop. 60	Z przes.	Rb. 9
KWARTALNIE		Rb. 1 kop. 90		Rb. 2 k. 25.
MIESIĘCZNIE		kop. 65		k. 75.

Adres Redakcji „SPOŁECZEŃSTWA”
WARSZAWA, ul. Żorawia № 29. Telefon № 116.67.

WYDAWNICTWA NAUKOWE

„SPOŁECZEŃSTWA”

U. Sinclair. „Trzęsawisko”. Wydanie kompletne w dwóch tomach, z portretem autora. Cena rb. 1 k. 50.

Narodowa Demokracja, przez Ludwika Kulczyckiego. Cena 20 kop.

Anarchizm w obecnym ruchu społeczno-politycznym w Rosji, przez L. Kulczyckiego. Cena 50 kop.

Kwestja rolna w programach partji rosyjskich a ruch wolnościowy w Rosji przez K. Zalewskiego. Cena 15 kop.

W państwie przyszłości, przez d-ra A. Pannekoeka. Cena 15 kop.

F. Lassale. Program robotniczy. Cena 10 kop.

St. Brzozowski. Ich rewizjonizm. Cena 10 kop.

Paulsen. Kant i jego nauka. Z 3-go wydania niemieckiego przełożył i wyjątkami z „Krytyki Czystego Rozumu” i „Krytyki Praktycznego Rozumu” uzupełnił J. Wł. Dawid.

Sully Jakób. Dusza Dziecka. Cena rb. 2 k. 50.

J. Wł. Dawid. Zasób umysłowy dziecka. Przyczynek do psychologii doświadczalnej. Cena kop. 50.

J. Wł. Dawid. O wykładzie psychologii jako nauki doświadczalnej. Cena kop. 30.

Ribot. O wyobraźni twórczej. Cena kop. 25.

H. Hoffding. Zasady etyki. Cena kop. 25.

J. Szczawińska. Pensje żeńskie. Cena kop. 15.

O. Bauer. Zagadnienie narodowości. Opracował M. Aleksandrowicz. Cena kop. 50.

J. Wł. Dawid. Mózg i dusza. Cena kop. 30.

W. Lexis. Podstawy Kultury Współczesnej 50 k.

C. Snyder. Obraz Świata podług najnowszych badań przyrodniczych. Cena rb. 1 kop. 30.

Wysyłać zamówienia do administracji „SPOŁECZEŃSTWA”,
Warszawa, Żorawia 29, telef. 116-67.

Doświadczony pedagog udziela lekcji, pojedynczo lub w kompletach. Łacina, polski, francuski, nauki przyrodnicze.

Wiadomość w redakcji „Społeczeństwa“.

Warszawska Szkoła Fotograficzna

Wierzbowa 3, telef. 198-03.

Kurs zawodowej fotografii trwa 2 lata; kosztuje 150 rb. rocznie. Prawie wszystkie materiały i narzędzia do ćwiczeń i doświadczeń darmo. Po skończeniu świadectwo i pośrednictwo w pracy. Wykłady chemii i optyki fotograficznej, estetyki i rysunków. — Nauka praktycznej fotografii prowadzona systematycznie, poglądowo za pomocą doświadczeń, ćwiczeń, pokazów. Kierunek szkoły artystyczny, nowożytny, ale zapoznaje też z metodami dawnymi, powszechnie używanymi w zakładach fotograficznych.

Kurs zawodowego retuszu kosztuje 100 rb. Trwa 1 rok.

Kurs amatorskiej fotografii w 14-tu lekcjach kosztuje 10 rb. (dla uczniów 7 rb.) Kurs niedzielny, 4-miesięczny po 3 rb. (dla uczniów 2 rb.)

PRACOWNIA ARTYSTYCZNYCH PORTRETÓW

kilka i kilkanaście zdjęć do każdego portretu. Charakter fotografii nowożytny, malarski. Wycucie linji, światłocienia charakteru. Dnie pochmurne lepsze do zdjęcia.

Wielkie portrety na wysoce artystycznych niezniszczalnych papierach.

CENY PRZYSTĘPNE.

Programy i cenniki wysyła się bezpłatnie.

OSTATNIA NOWOŚĆ!

Dla dorastającej młodzieży i dorosłych.

SNYDER

OBRAZ ŚWIATA

podług najnowszych badań nauk przyrodniczych.

Tłómaczenie z angielskiego. Znakomite to dzieło tłómaczone na wszystkie języki.

Cena w kartonie rb. 1 kop. 30, z przesyłką rb. 1 kop. 80. W ozdobnej oprawie rb. 1 kop. 70, z przes. rb. 2 kop. 20.

Dla prenumeratorów „Społeczeństwa” 20%.



IDEALNY POKARM

dla NIEMOWLĄT

oraz dla osób DOROSŁYCH — CHORYCH
na ŻOŁĄDEK.



T. KOŁOMAŃSKI i S-KA

DRUKARNIA

WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 40. Telef. 68-81.

Biuro Nauczycielskie

Warszawa, 23 Bracka

W. Rościszewskiej

poleca nauczycielki i nauczycieli, wychowawczynie, freblanki polki i cudzoziemki.

NAUCZYCIELKA

udziela lekcji, przygotowuje do szkół. Posiada języki: francuski i niemiecki. Adres: **Sienna 8, m. 14.** Zastać można od g. 10 do 1-ej.

OD KASZLU I CHRYPKI

zalecają lekarze

Fay'a prawdziwe Sodeńskie mineralne pastylki.

Cena pudełka 70 k. Do nabycia we wszystkich aptekach i składach aptecznych.

Żądać wyraźnie zielonych pudełek z objaśnieniami w jęz. polskim i rosyjskim.